



Wieczór kawalerski
T. Lud. N.H.
„GLOB”
SPÓŁDZIELNIA PRACY
665

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
tel. 813 42 34 tel./fax 813 44 95

DZIENNIK POLSKI
31-072 KRAKÓW
ul. Wielopole 1

Nr 300 23-12-98
z dn.

Paweł Głowacki

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Kultura

Zdumienie synów studzienności

Głęboko jest. Płytkie się nie liczy, płytkiego nie ma. U nas już dziś jest głęboko, i to ostro głęboko, a co dopiero jutro. Jutro będzie jeszcze ostrzej i o wiele bardziej zdecydowanie ku dołowi, co nas niezmiernie cieszy. Prawdę rzekłszy – będzie pionowo do spodu. Tak właśnie będzie, albowiem w kraju – a Polska to ściśle taki kraj, w którym istotą życia każdej jednostki jest oczywiście wyłącznie wielki romans z teatrem – inaczej być nie może. Jak by powiedział Gabriel Garcia Marquez – plemię skazane na stuletnią miłość do teatru nie ma innej szansy na ziemi, jak tylko stuletnią głębię studzienną. Melpomena nasza wie o tym i Melpomena nasza nigdy nas nie zawiedzie. Na Lupe, Grzegorzewskiego, Warlikowskiego, Jarzynę, Jarockiego, Wajdę, Augustynowicz, Ciepłaka, Brzozę, Fiedora i Miśkiewicza – że pozwolę sobie wymienić tylko szpicz studzienności – zawsze możemy liczyć.

Teatr nasz ukochany nigdy nas nie zawiedzie, ale i my również nigdy go nie zawiedzimy. Każde dziecko wie, że jesteśmy krajem ludzi permanentnie, desperacko i absolutnie powszechnie uczęszczających do naszego ukochanego, ci zaś, którzy nie uczęszczają, są już po stronie niebytu, są gatunkiem słusznie dogorywającym. Powiedzmy sobie jasno i otwarcie, i nie wstydzmy się słów naszych: jesteśmy krajem ludzi, którzy nie mogą żyć bez naszego ukochanego. Nic nas poza teatrem nie obchodzi, po to tylko wiążemy koniec z końcem, by chodzić na spektakle, chodzić i przebywać w bezpośredniej bliskości głębi bezdennych. Jesteśmy krajem takich właśnie ludzi, a imię ich legion. Jeśli członkom szpiczy teatralnej studzienności się wydaje – a dokładnie tak im się wydaje – że są najważniejszymi ludźmi w naszej ojczyźnie, że są naszej ojczyzny zwielowrotnionym pępkiem, to niechaj wiedzą, że bardzo słusznie im się wydaje. Słowem, bez was – nie ma nas.

Takie są piękne fakty naszego życia teatralnego, w związku z czym martwi nas teatralny czyn, którego dopuścił się Janusz Szydlowski. Wystawił on farsę Robina Hawdona „Wieczór kawalerski”, czym wbił nas w zdumienie i bardzo nieprzyjemny popłoch poznawczy. Powiemy z punktu, że my, fani szpiczy teatralnej studzienności, dzieci tego mrocznego pułku, czegoś tutaj nie rozumiemy. Nie rozumiemy mianowicie, że akurat wszystko rozumiemy. Tak, na Boga, nie może być! Jak czarno na białym, a raczej czarno na mętym, dowodzą dzieła szpiczy teatralnej studzienności: im mniej rozumiesz, tym spektakl lepszy, ty zaś – tym inteligentniejszy jesteś i na odpowiednim poziomie wyrobienia przebywasz. Dlatego lubimy, gdy się nie orientujemy.

Zrozumieliśmy wszystko i to nas denerwuje. Na domiar złego ani oczy nam się nie ploszyły, ani nie wzięły uszy. To znaczy: jak już coś było widać, to było to przyjemne oraz służyło do tego, do czego zazwyczaj służy, a nie do czego innego; jak już aktor coś mówił, to było go słychać oraz słowa znaczyły to, co znaczą zazwyczaj. Na przykład drzwi. Drzwi służyły do wchodzenia bądź wychodzenia. Cóż za banał w tym tkwi! Na przykład *dzień dobry*. *Dzień dobry* znaczącyło *dzień dobry*, a nie *do widzenia*. Jakież brak reżyserskiej ambicji za tym się ukrywa! Na dodatek, jak na farsę przystało, spirala rytmu, gagów, przebieranek i najprzeróżniejszych sytuacyjnych zapętleń, rozkręca się u Szydlowskiego, trzymającego młodych aktorów z precyzją godną głębszej sprawy, rozkręca się mianowicie prawidłowo, czyli tak, że widzowi właściwie na nic już czasu nie pozostaje. I to jest następny fakt, który nas zdecydowanie irytuje. Bo jakże to tak? Niby spektakl teatralny, a tu nie ma jak uciąć komara, nie ma jak przeczytać gazety, nie ma jak pogadać z sąsiadem lub choćby w cichości podumać o tym i owym. Zgroza! Owszem, śmiechu tutaj ogrom. Dowcip, concept, błyskotliwość Robina Hawdona są po prostu nie-

złej-miary. Ot, poranek w pokoju hotelowym, poranek po wieczorze kawalerskim. Młody mężczyzna budzi się i dwa fakty zauważa. Po pierwsze, że przestał być na urwanym filmie. I po drugie, że obok leży kobieta wprawdzie, ale akurat nie ta, z którą za parę godzin ma stanąć na ślubnym kobiercu. Pierwsze słowa niewiasty uzmysławiają młodzieńcowi, że w nocy raczej nie w warcaby grali... Resztę fabuły można sobie dośpiewać. Owszem zatem, śmiechu ogrom, ale my, synowie szpiczy teatralnej studzienności, pytamy, w jakiej sprawie mianowicie? Czy Szydlowski śmieje się, a my za nim, w sprawie jakiejś istotnej części transcendencji? Może śmieje się w sprawie moralności? Może przeciwko upadkowi grzeczności? Kto wie, kto wie, może jest to śmiech w kwestii Boga, Honoru, Ojczyzny, wad narodowych, upadłego życia ulicy oraz w istotnej kwestii ciężkiego losu człowieka na tym leż padole?

Otóż – nie. Proszę sobie wyobrazić, że Szydlowski nie śmieje się w ogóle w żadnej sprawie. Niebywała płaskość! On się chuli-gańsko nie śmieje z niczego, bo on się śmieje dla samego śmiechu. O nic mu nie chodzi, jak tylko o to, byśmy spędzili w teatrze przyjemne, rozluźniające i wyzute z pretensji do czegokolwiek dwie godziny. Ładna Historia!!! I jak my teraz wyglądamy, my – głębo-cy teatromani?

Fatalnie wyglądamy. Wychodzimy z tego spektaklu i się nie ślamiamy. Nikt nie mdleje. Z ust nie cieknie nam piana metafizycznej rozpacz. Rozgrzany do białości mózg nie wypływa uszami. Ocu nie zasnuwa mgła tajemnicy i ważności. Nie jesteśmy rozzochrani. Wiemy, jak się nazywamy. Słowem – żyjemy. I to jest w dzisiejszych czasach – trzeba przyznać – bardzo dziwna okoliczność.

Teatr Ludowy. Scena Pod Ratuszem. Robin Hawdon „Wieczór kawalerski”. Reżyseria Janusz Szydlowski. Scenografia Anna Sekuła. Muzyka Krzysztof Szwaiger.